



SPLĄTANI KRWIĄ

ALEKSANDRA SZYMAŃSKA

SPLĄTANI KRWIA

SPLĄTANI KRWIĄ

ALEKSANDRA SZYMAŃSKA



© Aleksandra Szymańska, 2025
Wszelkie prawa zastrzeżone

Projekt okładki i ilustracja:
Marta Żurawska | @zurawska_marta_illustrator

Redakcja:
Dominika Kamyszek | @opiekunka_slowa

Korekta:
Aleksandra Juryszczyk | @olajuryszczak_korektor

Skład i łamanie:
Mateusz Cichosz | @magik.od.skladu.ksiazek

Wydanie 1
Kobylany, 2025

ISBN: 978-83-974882-2-9

Dla Was, stworzonych
do życia w innych światach







PROLOG

Terarchol

23 września

Niebo pękło wpół. Wydawało się teraz matową, szarą bańką, w której środek wbito sztylet. Paskudna rana zionęła pustką, wypływając z siebie czarne smugi erretzjaru.

Tiama czekała w swojej kryjówce. Wpatrując się w przecinający sklepienie portal, nie odważyła się nawet mrugnąć. W końcu pęknięcie rozbiłyśło złotym światłem. Na jedną chwilę nieprzenikniona czerń zastąpiona została poświatą Dashar. Ktoś otworzył drogę poza granice tego świata. Chwilę później portal w końcu zaczął się zasklepiać.

– Udało mu się – szepnęła Tiama. W jej turkusowych oczach zalśniły roziskrzzone łzy.

Wznowiła marsz, teraz musiała się spieszyć. Ruszyła przez zajęte czarnym płomieniem erretzjaru zgłiszcza Terarcholu. Zewsząd dobiegały traski i szum obracającego się w pył świata. Pod jej stopami chrzęściły kamienne odłamki zburzonych budowli. Tiama zakaszła cicho, wszechobecny dym drażnił gardło, szczypał w oczy.

Coś zwróciło jej uwagę, jakiś znajomy dźwięk. Przystanęła więc i zaczęła nasłuchiwać, wypatrując kształtów w panującym półmroku.

On nadal mógł tu być... Ten, który ich zdradził.

Może mi się wydawało?, pomyślała.

Pył osiadał na jej jasnych włosach, na rzęsach. Zamrugła z odrazą, by się go pozbyć. Nie pochodził jedynie ze spopielenych drzew i skał. Dym mieszał się z prochami milionów ludzi zamieszkujących niegdyś Lankeię. Deber niszczył wszystko i wszystkich, nie poprzestał na stolicy. Terarchol był jedynie miejscem, gdzie wszystko się zaczęło. Gdzie wszystko się skończyło.

Początek końca i koniec początku. Niczym punkt, w którym wąż potyka swój ogon, gdzie wszystko zbiega się w czasie, umiera i powstaje – jednocześnie.

– Jeszcze tu jesteś?

Tiama drgnęła, obróciła się i spojrzała w zaczerwienione zmęczeniem oczy Suena. Odetchnęła ciężko, łapiąc się za klatkę piersiową. Więc jednak jej się nie wydawało...

– Ty także, a nie powinienes. – Opanowała się i wyprostowała przygarbione łokciem plecy.

Suen wyglądem przypominał wysokiego mężczyznę o jasnych włosach. Jego twarz zdawała się wyszlifowanym brylantem – o gładkich ściankach, lecz i ostrych krawędziach, wręcz nieskazitelnym. Zimnym.

W tym momencie także pełnym wyrzutu i gniewu.

– Soon? – zapytała.

Ledwie widocznie, lecz twarz Suena złagodniała.

– Żyje – odpowiedział. – Jest już bezpieczna.

Tiama poczuła się lżej. Zalęgły w niej strach opuścił ją, aż zrobiło jej się słabo.

– Co ty sobie myślałaś przez cały ten czas? – Suen pokręcił głową i rozłożył ramiona w geście rezygnacji. Otaczające go zgłiszcza zbyt głośno wykrzykiwały, jak bardzo okazał się bezsilny, stanąwszy twarzą w twarz z wypełzającą z portalu bestią erretzjaru. Sądził, że wytykając Tiamie błąd, poczuje się lepiej. Że jakimś sposobem odzyska z dawna utraconą kontrolę nad równowagą sił tego świata.

– Zdradził nas. – Te dwa słowa były jedynym argumentem, którym Tiama mogła się załonić.

– Nie – zaprzeczył Suen. – Dałaś mu się oszukać. A to różnica.

– Ale plan...

Nie dokończyła, bo Suen roześmiał się jej w twarz gorzko i okrutnie.

– Nawet Lankeianie zawiedli. Pięciu Monarchów zginęło, zabrali Strażników ze sobą, do grobów. Zakłęte w czerwonych kryształach miecze

pewnie leżą pogrzebane głęboko pod gruzami. Korony i trony przysypał skalny pył. To koniec. Trzeba znaleźć inne rozwiązanie. Splątanie ludzi z Przedwiecznymi od samego początku było chorym pomysłem.

Tiama nie przyjmowała tego do wiadomości.

Przedwieczni będący Strażnikami nie mogą umrzeć, myślała. Dopóki istnieje choć jeden przedstawiciel każdego z pięciu śmiertelnych Rodów Krwi, nie jest to możliwe. Dopilnowała tego osobiście, by tacy przetrwali. To w nich Strażnicy znów się odrodzą. Była tego pewna.

Udug jeszcze pożałuje, że ją zdradził. Że zdradził ich wszystkich. Poza tym...

– Jest ktoś, kto mógłby nam pomóc.

Suen nie zrozumiał od razu.

– Czasami naprawdę przeraża mnie to, co kłębi się w tej twojej głowie – odparł po chwili. – Na szczęście nie istnieje sposób, by go obudzić.

Lecz Tiama wiedziała, że owszem, jak najbardziej istnieje. I była już blisko... Tak bardzo blisko obudzenia Nun. Otwarcie portalu pomiędzy światami było niezbędne. Pozostawi za sobą ślad. Nun będzie mógł do niej trafić niczym po okruchach chleba.

Ten, któremu udało się przejść przez portal, miał tego dla niej dopilnować.

– Chodź. – Suen wypowiedział prośbę głosem pełnym wewnętrznego przymusu, by zachować się przyzwoicie. – Zabiorę cię stąd.

Tiama fuknęła pod nosem.

– Dam sobie radę. – Przeszła obok niego, trącąc go barkiem.

Suen przygryzł ze złości wnętrze policzka. Przez moment walczył z myślami, w końcu jednak podążył za nią, jak zawsze.

* * *

Szli w ciszy, ramię w ramię, szukając dawnych ulic nieprzysypanych gruzami. Błądząc w tym potwornym labiryncie parujących zgłiszcz, Tiama z wolna zaczęła tracić nadzieję.

Przecież Mezis wiedziała, kiedy zamierzamy otworzyć portal, myślała. Miała nim przejść. Potrzebujemy jej...

– Czego szukamy? – zainteresował się w końcu Suen. – Jeśli insygniów, to tylko tracimy czas.

Tiama mimowolnie zerknęła w jego kierunku. Ani jeden szary pyłek nie gościł na jego włosach i szatach. Musiał otaczać się Barierą. Nieustannie próbował odgrodzić się od wszelkiego brudu materialnego świata, w którym ona sama grzęzła od lat. Zirytowana tą myślą, już miała kazać mu zostawić się w spokoju, coś jednak przekierowało jej uwagę. Sprawilo, że zapomniała słów.

Wpatrzyła się w zniszczony, kamienny posąg, wyróżniający się na tle otaczających go szarych stosów gruzu. Pamiętała to miejsce. Jeszcze niedawno był tu zielony plac, wokół rozlewały się wody fontanny. Wysokie kamienice wznosiły się nad ludźmi aż do chmur, cudownie zdobione. Dzieci biegały boso w fontannie pomiędzy strzelającymi słupami wody. Wciąż dźwięczał jej w uszach ich śmiech...

Śmiech ten w jednej chwili przerodził się w zawodzenie przedwcześnie wyrwanych z ciał dusz.

Marmurowy posąg przedstawiał kobietę w mokrych szatach. Ciężar ciała opierała na jednej nodze, drugą miała lekko cofniętą, zupełnie jakby zamierzała za moment zeskoczyć ze swego piedestału wprost do wód fontanny. Zwykle siadały na niej ptaki. Dzisiaj, jedynie popiół.

Figura w wyniku kataklizmu utraciła głowę i niegdyś rozłożone do skoku ramiona, ale rozpostarte skrzydła pozostały nienaruszone.

Teraz zdawała się pragnąć wzbic do niebios. Ku wolności.

Gruzy zaczęły się osuwać. Tiama odwróciła się w kierunku rumoru, a w tym samym momencie Suen objął ją Barierą, zaczął manipulować dielli, przygotowując się do walki.

– Czekaj – powstrzymała go Tiama, gdy spomiędzy chmury pyłu zaczął wyłaniać się zarys postaci.

– Nokturn? – Suen zaprzestał manipulacji, nie dowierzając.

Tiama postąpiła dwa kroki do przodu.

– Co ty tu robisz? – zapytała w panice, ponieważ to nie Nokturn miał przejść do tego świata zza drugiej strony portalu. – Gdzie ona jest? Gdzie jest Mezis?

Mężczyzna spojrzał na nią obłąkanymi szarymi oczami. Ubrany był w dziwną, sztywną koszulę i beżowe spodnie z lejącej się tkaniny. Jego cera zdawała się kolorem stapiać z szarością gruzowiska.

– Kto? – wybełkotał. – Kim wy jesteście?

– O nie... – wyrwało się Tiamie z ust.

– Co to ma, na dielli, znaczyć?! – Suen złapał ją za ramiona, ścisnął i zajrzał jej głęboko w oczy. – To o to ci chodziło? Chciałaś otworzyć portal, żeby ściągnąć tu Przedwiecznego z innego świata? Przecież to zburzy całą równowagę!

Twarz Tiamy wyrażała jednak takie samo zaskoczenie. Puścił ją więc, zbyt przerażony konsekwencjami, by móc zrobić cokolwiek.

Tiama podeszła do Nokturna powoli.

– Co się stało? – zapytała go.

– Za wcześnie – wymamrotał pod nosem, rozglądając się z przestraszeniem. – Jest za wcześnie...

– Co to znaczy? – drążyła. – Na co jest za wcześnie?

– Wojna Nienazwanych – szepnął. – Ten, Który Istnieje, Ten, Którego Nie Ma, i Ten, Którego Nie Widać.

Mięśnie Tiamy zadrżały pod jej skórą, gdy zrozumiała.

– Twój świat dosięgła już wojna Trzech Energii – wydusiła.

Pokiwał głową.

– On musi obudzić się szybciej – powiedział Nokturn. – Ona musi się spieszyć... Trzydzieści... Trzydzieści...

– Zabierz go ze sobą – zwróciła się Tiama do Suena.

– Tak właśnie zamierzałem zrobić.

– Niech Soon spróbuje przywrócić mu wspomnienia.

Suen otworzył jedynie usta, ale się powstrzymał. Nienawidził, gdy wykorzystywała takie momenty do rozkazywania mu. Pokonał dzielącą go od Nokturna przestrzeń i bez słowa wyjaśnień złapał zdezorientowanego za ramię.

– Mam nadzieję, że rozumiesz konsekwencje zburzenia równowagi między światami, Tiamo – wygłosił szorstko. – To już koniec.

Otworzył Dasher. Nastąpił rozbłysk energii, w którym obaj zniknęli sprzed jej oczu.

Tiama uśmiechnęła się pod nosem. Gdzieś pomiędzy rozłożonymi skrzydłami marmurowego posągu ostatnie z pęknięć nieboskłonu właśnie się zasklepiło.

– Och nie, Suen – rzuciła cicho. – Mylisz się. Pięciu Monarchów znów powstanie. Skazani na banicję powrócą jeszcze silniejsi. To, co zaginęło,

odnajdzie się, a niebo kolejny raz pęknie, gdy Zapomniany powróci, by poprowadzić nas ku zemście.

Przepowiednia z Lodon właśnie zaczęła się sprawdzać.

Wąż rozwiera paszczę, by połknąć swój ogon.

To dopiero początek końca.

To dopiero koniec początku.







CZEŚĆ PIERWSZA

*Czy wiedząc, że może cię ona zniszczyć, sięgnąłbyś po moc
zdolną ocalić tych, na których zależy ci najbardziej?*

Dielli – jedna z dwóch energii napędzających ludzkie ciało, zaraz obok energii życiowej. Sposoby posługiwania się dielli nie są zakodowane na poziomie genetycznym. Istnieją jednak metody na podporządkowanie sobie tej energii. Ludzie zwą je sztuką manipulacji i kreacji.

Ilość cząstek dielli jest ograniczona możliwościami materialnego ciała. Większość ludzi rodzi się z niskimi pokładami dielli, co pozwala im na zgłębianie sztuki manipulacji i kreacji jedynie na bardzo podstawowym poziomie.

Kreacja to sztuka przejmowania kontroli nad dielli swojego ciała. Umiejętność kreacji jest konieczna do zgłębiania sztuki manipulacji.

Manipulacja polega na przepuszczeniu dielli przez formę, zwaną Elementem. Wyróżnia się pięć podstawowych Elementów. Użycie każdego z nich wymaga nadania energii dielli odpowiednich wibracji, gęstości, siły i kierunku przepływu.



Kreacja dodatnia pozwala wydobywać energię z wnętrza swojego ciała i wprowadzać energię do źródła zewnętrznego. Źródłem zewnętrznym mogą być jedynie obiekty kompatybilne z ludzkim dielli, takie jak ludzkie ciało lub artefakty.



Kreacja ujemna pozwala czerpać dielli z zewnętrznego źródła i wprowadzać energię do wnętrza ciała. Zewnętrzne źródło musi być kompatybilne z ludzkim dielli.

1

Trzydzieści lat później

Wyspy Lodon

19 marca

Tauri łąpała powietrze haustami. Jej płuca powoli przegrywały desperacką walkę o tlen. Mięśnie bolały, odmawiały posłuszeństwa. Nie miała nawet czasu, by choćby pomyśleć...

– Kontroluj oddech! – wrzasnął na nią Eltanin, wyprowadzając cios drewnianym mieczem z boku całą swą potężną siłą lewej ręki.

Tauri zablokowała atak, unosząc prawe ramię na wysokość głowy i rozciągając klingę wzdłuż ciała. Przytrzymała ostrze lewą dłonią, by uderzenie nie wytrąciło jej z równowagi. W sali ćwiczeń rozległ się głuchy trzask przy zderzeniu drewnianych mieczy. Eltanin użył więcej siły, czym zmusił ją do cofnięcia się. Tauri zacisnęła szczękę. Jej ściągnięte wargi aż pobielaly.

Siłą obu rąk mocno pchnęła klingę w przód, wyprowadzając ruch z prawego barku. Zmusiła go do przerwania połączenia i odskoku, lecz Eltanin nie pozwolił jej wykorzystać tej okazji na przejście do ofensywy. Nim Tauri się zebrała, znów zaatakował. Identycznie jak przed momentem. Zrobiła unik, odskakując w tył na obu nogach i cofając całą klatkę piersiową. Ostry koniec zahaczył o materiał jej szaty, ale nie dosięgnął skóry. Eltanin zaatakował kolejny raz. Tym razem wyprowadził klingę z góry, trzymając

rękojeść w obu dłoniach, jakby chciał rozplątać Tauri na dwie części. Zrobiła półobrót, ustawiając miecz nad głową. Rozległ się szcęk uderzenia. Noga Eltanina poszybowała w jej kierunku.

Tauri przeklęła w duchu w tym samym momencie, w którym kopniak w brzuch odrzucił jej ciało. Zamortyzowała upadek przewrotem w tył. Wstała natychmiast, gotowa na sparowanie kolejnego ciosu, który jednak nie nadszedł. Zmarszczyła brwi, nasłuchując. Eltanin nigdy nie pozwalał jej opuścić gardy po upadku.

Coś świsnęło w powietrzu. Tauri poczuła falę gorąca pod czaszką i w ostatnim momencie odbiła przedmiot. Po dźwięku zderzenia zrozumiała, że rzucił w nią sztyletem. I nie był on drewniany.

– Mogłeś mnie zabić! – krzyknęła, bo nie opanowała emocji. Wyładowała na nim wściekłość porażki. Jak zwykle przygryzła język o sekundę za późno.

– Oczywiście – odpowiedział niezrażony Eltanin swoim naturalnie aroganckim tonem. – Zabić to cel walki. Cel walczących. Myślałem, że tę lekcję już przerobiliśmy – westchnął. – To przez twój strach przed utratą kontroli nad dielli, mam rację? Lęk spowalnia ci umysł. Zżera całą twoją pewność siebie.

Tauri fuknęła, a jej nozdrza zafalowały jak u rozjuszonego byka. Eltanin wiecznie był głodny jej zmęczenia, frustracji i wstydu.

– Dobrze wiesz, że robię, co tylko mogę... – zaczęła się bronić, ale jej przerwał.

– Jeśli nadal będziesz robić jedynie to, co możesz, nigdy nie staniesz się kimś więcej, niż jesteś teraz. Twoje najwyższe granice powinny stanowić dla ciebie punkt zero. Dopiero wtedy masz szansę zrobić coś, co wyniesie cię ponad. Dzięki czemu staniesz się lepsza. Masz potężne pokłady dielli. Inni o podobnych mogą co najwyżej pomarzyć. Zrób z nich w końcu jakiś pożytek!

Tauri zacisnęła pięści. Wciąż nie potrafiła pogodzić się z tym, że musi nieprzerwanie walczyć o coś, co innym przychodzi naturalnie. Bez nieustannego kontrolowania przepływu dielli w swoim ciele kreacją jej własna energia doprowadziłaby do jej śmierci. Nie zawsze tak było.

Gdzieś na linii czasu, trzynastcie lat wstecz, mała Tauri wciąż to potrafi. Lecz wraz z nadejściem nocy jej świat pogrąży się w mroku...

– Po co mi tyle dielli, skoro jedyne, co potrafię, to trzymać go w ryzach kreacją, żeby nie rozsadził mnie od środka? – mruknęła.

– To zdanie jest klatką, w której się zamknęłaś – odparł Eltanin lodowatym głosem. – Pozwól, że cię z niej uwolnię.

Tauri sparowała nagły atak. Instynktownie się obroniła. Eltanin wykonał półobrót, prawym ramieniem złapał ją pod jej lewe ramię i z całej siły pociągnął za sobą, omal nie wyrywając jej stawu barkowego. Syknęła z bólu. Zderzyli się plecami. Zrobiła szybki obrót w lewo i nim Eltanin ją dogonił, wykonała zwrot. Na czas odparła atak, tnąc z góry. Zaatakowała z dołu, mierząc w jego tętnicę udową, lecz on odbił jej miecz w prawo. Celował w jej tydkę. Odskoczyła. W locie zaryzykowała i cięła, obierając za cel odsłoniętą szyję. Zbyt przewidywalnie i niepewnie – Eltanin zdążył zrobić unik. Starli się na krótkim dystansie. Nastąpiła błyskawiczna wymiana ciosów, drewniane klingi skrzyżowały się na moment w impasie. Eltanin wygrał walkę siłową, odrzucił Tauri w tył i ciął z boku.

Zdążyła odskoczyć. Zaczęli się okrążać jak walczące o przywództwo w stadzie wilki.

– Marnujesz za dużo energii – upomniął ją. – Gromadź ją w jednym punkcie i nim uderzaj. Atak ma być jak dzieło sztuki: przemyślany i z przekazem. Nie trafi do mnie, jeśli sama nie będziesz pewna tego, co chcesz przekazać.

Zaatakował z prawej ręki, celując w jej brzuch. Zrobiła unik i obróciła się w lewo, w tym samym momencie wyprowadzając miecz z dołu. Chciała pogruchotać mu kolano, ale przewidział to i skoczył. Przecięła jedynie powietrze, a zanim się zorientowała, nad jej głową zawisł jego miecz. Uskoczyła w lewo, odbijając się od prawej nogi, ale nim zdążyła się zamachnąć, grzmotnął ją w bok szyi wysokim kopniakiem.

– Gdybym używał manipulacji, w tym momencie byłabyś martwa – oznajmił sucho Eltanin.

Tauri zakłęta w duchu. Zbyt skupiła się na przemieszczaniu, przez co straciła rytm. Nauka była jednak warta swej ceny.

Skoczyła w tył, odbijając się na lewej ręce, wylądowała w przysiadzie i sięgnęła dłonią w lewo. *Jest!* Złapała sztylet i rzuciła nim w kierunku Eltanina, nie dając mu czasu do namysłu. Odbił go, oczywiście, lecz wówczas ona była już przy nim. Cięła, a on odskoczył, wyraźnie wybity z rytmu.

Zaatakował z góry, niemal na nią skacząc, ale przewidziała to i jeszcze przed atakiem zrobiła unik w lewo. Zamachnęła się i wkładając w ten cios wszelkie swoje siły, cięła, mierząc w tętnicę udową.

Zasłonił się w ostatniej chwili drugą nogą, jednak go trafiła. Dźwięk uderzenia jej miecza w kolano Eltanina wydał jej się nagle tak cudowny, że wyszczerzyła zęby w szalonym uśmiechu.

Nadal czuła głód, podsycany palącą potrzebą wytknięcia Eltaninowi, że się myli. Zaszła tak daleko, a nigdy nie powiedziała, że zrobiła coś dobrze. Teraz na pewno...

Złapała go za ramię. Nagle możliwość utraty kontroli przestała być tak przerażająca.

Zrobię to... Muszę...

– No i proszę – wydusił jej mistrz, cedząc słowa między zębami. – Znów jesteś martwa.

Tauri zmarszczyła czoło i prychnęła, nie cofnęła ręki. Poczuła jednak ukłucie pod lewym żebrem.

– Ale... kiedy? – wydukała.

Eltanin wstał tak dziarsko, jakby jej atak nigdy nie miał miejsca. Musiał już zdążyć zregenerować stłuczone kolano połączeniem kreacji z Elementem Metalu. Metal pozwalał na przejmowanie kontroli między innymi nad układem ruchu ciała. Dzięki kreacji mógł skierować energię do regeneracji tkanek w tym układzie.

Szybkość i łatwość, z jakimi manipulował, były imponujące.

– Poczułaś to, prawda? – zapytał. – Ogłupiający smak zwycięstwa. Chwilę otumaniającego, ekscytującego szumu w głowie. Poszłaś za nią, a nie powinnaś. Od ciosu w kolano się przecież nie ginie. Znów zamiast próbować mnie zabić, postanowiłaś mnie pokonać. I znów przegrałaś. Sądziłem, że jak dobędziesz już w końcu tego sztyletu, to jakoś lepiej go wykorzystasz – przyznał z takim zawodem, że Tauri się zaczerwieniła.

Rozległ się dźwięk otwieranych drzwi.

– Wybacz, że ci przerywam, mistrzu... – Tauri poznała po głosie, że to Mimoza. – Zgromadzenie Dewanagari zaraz się zacznie.

Eltanin poczuł na zroszonym potem czole powiew chłodnego, wieczornego powietrza wdzierającego się przez drzwi. *Straciłem poczucie czasu*, pomyślał.

– Na dzisiaj koniec ćwiczeń, Tauri. – Wyciągnął dłoń, by oddać mu ćwiczebny miecz.

Tauri się zawahała.

Nie powinnam... Naprawdę nie powinnam...

– Ja... – zająknęła się, lecz zaraz odchrząknęła i wyprostowała, zadzierając podbródek. – Mam pytanie.

Eltanin zastanowił się krótką chwilę.

– Zaczekasz na mnie za drzwiami, Mimoso?

– Oczywiście – zgodziła się usłużnie kobieta. Drzwi zostały zamknięte.

Tauri przełknęła ślinę. Oddała swój drewniany miecz.

– Po co szkolisz mnie w walce? – zapytała. – W starciu z kimś, kto potrafi manipulować, i tak nie będę miała szans. Ja... nie rozumiem. Potrafię się już przecież kontrolować, a o to chodziło, prawda? Chyba nie oczekujecie, że stanę się jedną z was? Jedną z Dewanagari. Nie nadaję się, musisz to widzieć.

Tauri dręczyło to od dłuższego czasu.

Kiedy Eltanin ją znalazł, nie miała żadnej kontroli nad swoim przepływem dielli. Później jeszcze przez długi czas ktoś nieustannie musiał stosować na niej kreację dodatnią, by dielli w jej ciele płynął tak, jak powinien. Nauka samodzielnej kreacji zajęła jej wiele lat. Wielu ucierpiało podczas jej nagłych utrat kontroli nad energią. Teraz jednak przestała już stwarzać zagrożenie. Zarówno dla siebie, jak i dla innych.

– Pozwólcie mi odejść – dokończyła Tauri.

– Słyszałem, że w następnym tygodniu masz test – powiedział Eltanin, jakby nie usłyszał żadnego z jej słów. – Powinnaś skupić się na nauce.

Tauri nie uznała tej wypowiedzi za satysfakcjonującą. Teraz, gdy w końcu odważyła się podjąć temat, nie zamierzała tak łatwo się poddać. Eltanin ruszył jednak do wyjścia.

– Od kilku dobrych lat nie straciłam nad dielli kontroli, to przecież coś znaczy! – podjęła desperacką próbę. – Nie macie prawa mnie tu więzić! – krzyknęła, ale on się nie zatrzymał. – Dlaczego? – wysyczała przez zaciśnięte do bólu zęby. Poczuła, jak w klatce piersiowej rozpyływa się pulsacjami znajomy żar. Ostrzeżenie.

Eltanin dotarł do drzwi. Mimo to nie wyszedł.

– Wymień mi szczepy Przedwiecznych.

Dziewczynie opadły ramiona. Naprawdę zamierzał ją teraz przepytować?

– To jedno z podstawowych zagadnień testowych. Na pewno znasz odpowiedź – zachęcił ją.

Tauri nabrała wody w usta, jednak przedłużająca się cisza podpowiedziała jej, że mistrz nie odpuszcza.

– Wyróżnia się nagów, gharsu, istoty, hepalów i ur'idimów – odpowiedziała z rozdrażnieniem.

– Czym szczepy różnią się od siebie? – drążył.

– Każdy specjalizuje się w konkretnym Elemencie.

– W którym z nich nagowie?

– W Elemencie Popiołu.

– Widzisz? – Eltanin chwycił za klamkę drzwi. – Poradzisz sobie.

– Ja odpowiedziałam na każde pytanie – fuknęła Tauri. – Ty wszystkie moje przemilczałeś.

Szczerze nie spodziewała się, że te słowa skłonią go do mówienia. Pozwolenie sobie na odpyskowanie miało być nagrodą pocieszenia. On postanowił ją jednak zaskoczyć.

– Są takie miecze... – odparł półgłosem. – Klingi, które potrafią odbijać dielli. Mając jedną z nich, byłabyś w stanie stanąć naprzeciw każdego.

Tauri zmarszczyła brwi. Nie o to jej chodziło. Nie o to pytała.

– Ale...

– Pośpiesz się w drodze powrotnej – przerwał jej Eltanin. – Słońce już zachodzi, a Rigiell nie lubi, kiedy wracasz do domu po zmroku. Powodzenia na teście.

Trzasnęły zamykane drzwi.

Przecież i tak jedyne, co widzę od trzynastu lat, to mrok, pomyślała Tauri, nie pobieгла jednak za Eltaninem. Wiedziała, o co mu chodzi. Gdyby zdała egzamin końcowy, udowodniłaby, że potrafi kontrolować swoją energię. Dewanagari nie mieliby wówczas żadnego argumentu, by nadal trzymać ją za murami kompleksu świątynnego.

– Gdybym tylko mogła widzieć...

...już dawno bym stąd uciekła, skończyła w myślach.

Mimoza długo milczała, ale w końcu nie wytrzymała i prychnęła. Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Eltanin klęczący na macie... – Wypowiedziała te słowa powoli, niemal z namaszczeniem. W jej tonie pełno było kpiącego niedowierzania. – Dla tego widoku warto było się po mistrza pofatygować.

Eltanin prześwidrował ją jadowitym spojrzeniem zielonych oczu.

– Jeszcze nie wyrostaś z podglądania? – udał oburzenie, ale widząc, że nie bardzo się tym przejęła, dodał: – Pozwoliłem jej na to.

– Och nie, nie, nie! – Mimoza pomachała mu palcem przed nosem. Jej długie kasztanowe włosy zafalowały z wdziękiem. – Komu jak komu, ale nie Tauri. Sama to sobie wypracowała, a ty w końcu musisz to przyznać. No już! – Mimoza zagroziła mu drogę i zaczęła iść tyłem. Wymierzyła w niego oskarżycielsko palec wskazujący.

Eltanin przewrócił oczami, na co ona dźgnęła go tym palcem w nos.

– No już!

Odgonił się od niej machnięciem ręki i zrobił krok w lewo, by ją minąć. Mimoza zmarszczyła czoło. Coś w wyrazie jego twarzy kazało jej dać mu spokój. Szli, milcząc oboje, z wolna wspinając się po krętych, kamiennych schodach do Sali Obrad. Nadchodzący zmrok niósł ze sobą nieprzyjemny, pozimowy chłód. Eltanin nałożył kaptur i owinał się ciasniej paltem, rozmyślając o słowach Tauri. Przewidywał nadejście tego dnia. Odwlekał go, jak tylko mógł.

– Dawno nie widziałam, by słońce zachodziło tak intensywną czerwienią – zauważyła Mimoza i westchnęła. Trudno było powiedzieć, czy z zachwyty, czy potrzebowała chwili przerwy. Sala Obrad plasowała się niemal na szczycie wzgórza. Wyżej był już tylko Panteon.

Eltanin przystanął i obejrzał się za siebie. Zachodzące czerwienią słońce rzucało na cały kompleks świątynny ciemnopomarańczowe smugi. Otoczone wysokimi murami miasteczko tonęło w półcieniach. Drewniane domki stojące w dolinie pomiędzy wzgórzami czerniały. Kontrastowały z błyszczącymi od ostatnich promieni słońca strumykami, przecinającymi miasto w kilku miejscach. Byłby to w istocie cudowny widok, gdyby tak bardzo nie przypominał Eltaninowi tamtego dnia.

Wówczas słońce również wydawało się czerwone od lecącego z nieba krwawego deszczu.

– Nie do wiary, że Tauri nic nie widzi – westchnęła Mimoza nieoczekiwanie. – Gdybym nie znała jej od dzieciaka, nie widział, jak obją się o wszystko i wszystkich, nigdy bym nie uwierzyła, że jest niewidoma. Te jej ruchy... Ledwo mogłam za wami nadążyć spojrzeniem. Jest już prawie tak dobra jak ty, i nawet nie próbuj zaprzeczać. Powiedz, jak ona to w ogóle robi?

Kącik ust Eltanina poszybował w górę.

– Możesz w końcu przejść do sedna – ponaglił Mimozę. – Zwykle nie jesteś taka rozmowna – dodał, gdy w zdziwieniu uniosła brew.

Wznosiła wspinaczkę zasępioną. Po chwili układania zdań w głowie w końcu postanowiła je z siebie wyrzucić:

– Dewanagari w Zantos odebrał wiadomość z kontynentu. To jakiś cud, że ktoś go odszukał manipulacją. Przebicie się przez zakłócenia otaczającej wyspy Lodon Bariery z pewnością nie było łatwe.

– I...? – ponaglił ją Eltanin.

– Ardilia wypowiedziała Quinulii wojnę. W Aggersborgu zbierają się oddziały wojsk. To kwestia czasu, kiedy dojdzie do bezpośredniego starcia. To zdanie uderzyło Eltanina mocniej, niż dał po sobie poznać.

– Co na to Drakoia? – dopytał.

– Jeszcze nic nie wiadomo, ale to chyba oczywiste, co zrobią Wodzowie. Nie mógł nie przyznać Mimozie racji.

– Rozumiesz, co to oznacza, prawda? I kto tak naprawdę za tym wszystkim stoi? – spytał.

Mimoza przytaknęła.

– Ale wyspy Lodon chroni Bariera czcigodnej Tiamy. Nikt z zewnątrz się tu nie dostanie, prawda? – W jej głosie wybrzmiewała nadzieja małego dziecka. Ślepego i nieświadomego, że rodzice nie są najpotężniejszymi ludźmi na świecie.

Eltanin chciałby potrafić podtrzymać w niej tę wiarę.

– Pytałaś, jak Tauri to robi – podjął przerwany wątek, niezbyt zgrabnie zmieniając temat, by odciągnąć Mimozę od mrocznych wizji. – Cóż, początkowo chciałem jedynie nauczyć ją kontroli, więc szkolłem ją w kreacji. Kiedy przeszła moje najśmielsze oczekiwania, zacząłem uczyć ją manipulacji.

Mimoza wzniosła spojrzenie ku niebu.

– Przecież Zgromadzenie zabroniło ci szkolenia jej w manipulacji.

– Spokojnie. – Eltanin machnął niedbale ręką. – Przez jej blizny po eretżjarze traktują Tauri jak trędowną. Nikt ze Zgromadzenia jej nawet nie dotknie, nie mówiąc o próbie jej sprawdzenia. Poza tym sama Tauri nie wie, że używa do tego manipulacji. Ta nieświadomość pozwala jej robić postępy.

– To w ogóle możliwe, żeby używać Elementów nieświadomie?

– Źle mnie zrozumiałaś. Tauri korzysta z nich świadomie, ale sądzi, że to nadal część kreacji. Gdyby ktoś ci powiedział, że drzewo to owoc, a ty nie wiedziałabyś, że kłamie, żyłabyś w tym przekonaniu. Z Tauri jest jednak jeden podstawowy problem. Nie potrafi wypuszczać dielli na zewnątrz swojego ciała. To czyni jej manipulację bezużyteczną w walce.

– Może potrzebuje czasu? Praktyki?

Eltanin pokręcił przecząco głową.

– Obawiam się, że tu nie chodzi już o braki w jej umiejętnościach. Problemy Tauri z manipulacją prawdopodobnie mają związek z incydentem, przez który musiałem ukryć ją na wyspach.

Mimoza aż przystanęła.

– Jak to „ukryć”?

Eltanin sięgnął po dielli, sam siebie przeklinając. Wtargnął do pamięci Mimozy połączeniem Elementów Umysłu i Fali, kreacją dodatnią wpuścił do jej połączeń nerwowych swoją energię przekształconą Elementem Popiołu. Odnalazł odpowiednie wspomnienie. Było świeże, więc nie miał z tym problemu. Wypalił je.

Tego, jak Tauri znalazła się na Lodon, nie mógł wiedzieć nikt.

– To na czym to...? – Mimoza pokręciła głową i rozejrzała się dookoła, próbując sobie przypomnieć wątek.

– Na tym, że przez cały czas robiłem, co tylko mogłem, by Tauri potrafiła się obronić.

Spojrzała na Eltanina karcąco.

– Tyle że ty nie nauczyłeś jej obrony – zauważyła. – Ty nauczyłeś Tauri zabijać. To spora różnica.



2

Aggersborg

19 marca

Trzeci Batalion Piechoty pod dowództwem majora Tornvalda przybył do Aggersborgu jako jeden z ostatnich oddziałów. Po ciężkiej przeprawie przez wijący się przesmyk Haseraph aż z Namsaras wszyscy byli wyczerpani zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Świadomość, że zostali wysłani na pierwszą rzeź, wygrywała im na żołądkach pieśni żałobne. W ciągu dnia dało się to znieść. Wymagający, mechaniczny marsz zajmował ich umysły fizycznym zmęczeniem, przyćmiewając strach. Jednak nocami, gdy każdy pozostawał jedynie w otoczeniu miarowych oddechów leżących obok towarzyszy, wątpliwości natrętnie wpęłzały do głowy. Nie cichły aż do świtu.

Dni robiły się coraz cieplejsze. Pokryte pąkami gałęzie drzew zupełnie nie pasowały do panujących nastrojów. Wiosenny optymizm przyćmiewała świadomość, że nadchodzące lato nie będzie takie jak te poprzednie. Być może część z nich nawet go nie ujrzy. Po cichu każdy modlił się do Przodków, by nie doszło do bezpośrednich walk. Nikt nie chciał brać na poważnie kolejnej wojny. Nie po trzydziestu latach względnego pokoju.

Gdyby powstał ranking osób najgłębiej dotąd przekonanych, że za swojego życia nie zaznają wojny, to Eirik byłby na pierwszym miejscu. Nie mógł opanować drżenia szczęki. Dwa lata spędzone w armii nie wystarczyły, by nauczyć go panowania nad strachem. Gdy stał teraz przed

bramami potężnej twierdzy, przy zdrowych zmysłach trzymała go jedynie wiara, że dzięki monetom z żołdu jego rodzice i młodsza siostra nie będą głodni. Drugim utrzymującym go w pionię powodem był Skard.

Nagle na plecy Eirika wpadł Bers, przez to chłopak boleśnie przygryzł sobie język. Nieprzyjemne mrowienie rozniósło się po całej jego żuchwie.

– Bers! – syknął niezrozumiale, wygładzając język o podniebienie.

Dobrze zbudowany, starszy od niego o siedem lat mężczyzna uniósł dłoń w przepraszającym geście.

Chociaż przez całą drogę szyk musiał być utrzymywany obowiązkowo, to na placu przed bramą wszyscy z rzędów zostali nagle ściśnięci niczym sardynki w stoiku. Sprawdzano dokładnie, czy ich nieśmiertelniki są prawdziwe, a trwało to całe wieki. Ludzi do tego upoważnionych można by w Quinulii zliczyć na palcach.

– Widziałeś Skarda? – zagadnął Eirik, rozglądając się dookoła w tłumie w poszukiwaniu burzy jasnych jak mleko włosów i zbyt szczupłej sylwetki, której nawet szkielet by się nie powstydził.

Wyróżniający się swoim niebotycznym wzrostem Bers skinął głową.

– Stoi już w bramie.

Eirik pomyślał, że po tylu latach w jednej drużynie nie powinno go to dziwić. Skard potrafił przemykać pomiędzy ludźmi jak cień.

* * *

Stary kwatermistrz zmierzył Skarda podejrzliwym spojrzeniem. Zmarszczki wokół jego oczu się pogłębiły. Skard wiedział, w jaki sposób bada się prawdziwość nieśmiertelnika, lecz kwatermistrza to nie nieśmiertelnik zaczął zastanawiać. Na szczęście młodzieniec znał twarz staruszka, choć on z pewnością jego twarzy nie pamiętał.

– Czy pod tym miastem są kanały? – zapytał Skard szeptem, zbliżając do kwatermistrza swoją twarz. Rozciągnął wąskie usta w lekkim uśmiechu.

Staruszek odwzajemnił gest.

– Kanały pełne Szczurów – odpowiedział i przepuścił Skarda ruchem głowy.

* * *

– Do strzyżenia – zakomenderował kwatermistrz.

– Do czego?! – Eirik wyrzucił z siebie pytanie wysokim falsetem. Mimo gwaru słóconego tłumu to słowo usłyszał bardzo wyraźnie. Zęby rozdzwoniły mu się na dobre. – Po co?

– Wszawica – odparł gburowato kwatermistrz i skierował go do kolejki na lewo.

Bersa skierowano na prawo. Jego głowa już od roku lśniła łysiną. Ostatnim, czego potrzebował, była brzytwa. Za to bliźniacy Hialti i Holdis już po chwili znaleźli się za rozedrganym Eirikiem.

– Niby jakim cudem mamy złapać na tym odludziu wszawicę? – zastanawiał się na głos Hialti, żegnając się ze swoimi związanymi w kucyk długimi włosami.

– Teraz to już nawet Skard nas nie rozróżni. – Holdis zaczął rozplatać warkocz. – Nie szczękaj tak zębami, Eirik. Akurat u ciebie to będzie niewielka zmiana.

Eirik natychmiast cofnął dłoń, którą bezwiednie przeczesawał równo przycięte włosy.

Od tego momentu kolejka posuwała się znacznie szybciej. Duża część dowódców wymagała od swoich podkomendnych strzyżenia się na krótko. Podobno pomagało to utrzymać dyscyplinę i wzmacniało poczucie równości w oddziale. Major Tornvald ani z jednym, ani z drugim nie miał problemów. Jego batalion był dość osobliwą zbieraniną. Obecnie jednak zostali podłączeni pod Drugą Brygadę generała Bertholda, jednego z najbardziej pedantycznych ludzi, jakich Tornvald kiedykolwiek miał okazję poznać. Berthold został przez Wysoką Radę Svalbardu mianowany głównym dowódcą Aggersborgu, co dawało mu spore pole do popisu w zaprowadzaniu porządków. Tornvald stracił prawo głosu w sprawie takich detali, tym bardziej że obecna sytuacja nie sprzyjała sprzeciwianiu się pupilkom Rady.

Już po kilku minutach Eirik był w stanie zobaczyć stojących przy krzesłach czterech mężczyzn, którzy sprawnymi ruchami potężnych brzytw cięli włosy siedzących, krzywiących się wojowników. Mężczyźni wstawali z krzeseł z dość osobliwymi fryzurami. W niektórych miejscach widać było nagą skórę, w innych odstawały dłuższe lub krótsze kosmyki. Niektórym z przypadkowych ran ciekła krew, barwiąc szczecinę na rdzawy kolor.

Kiedy Eirik już w nowej fryzurze dopytał kucharza, gdzie i kiedy będą mogli się wykąpać, tamten go wyśmiał. Wręczył chłopakowi liść sałaty z gotowaną kaszą, po czym wskazał na beczkę z wodą i zanurzoną w niej chochlą.

– Tylko jedną – zaznaczył.

Eirik zmusił się do wychylenia jej zawartości, choć o mało się nie porzygał. Przepychając się w tłumie, zgubił też gdzieś Hialtiego i Holdisa. Zdany na siebie, podążył za chorągwiami jego batalionu, czując, że zaraz straci orientację w tym kamiennym labiryncie.

Aggersborg był tak ogromny, jak słyszał, choć od lat nieużywany. Po wielu klęskach żywiołowych, które dotknęły okoliczne ziemie, powodując skrajny nieurodzaj, a po nim głód, ludzie wyemigrowali aż za Limnaion. Pokryli gęsto Kotlinę Liobe licznymi miasteczkami. Koniec końców Rada ogłosiła ziemie pomiędzy Aggersborgiem a Limnaionem strefą buforową i oddała twierdzę na użytek wojska. Przez ostatnie dwadzieścia lat warownia z wolna popadała w ruinę, obsadzona jedynie kilkoma zmieniającymi się plutonami mającymi strzec granic. Zapewne widok tych parudziesięciu pałętających się po ogromnym mieście ludzi był dość groteskowy, ale większej liczby wojsk nie opłacało się po prostu tam umieszczać. Brak otwartych konfliktów zbrojnych także nie zachęcał do inwestowania w to miejsce.

Przede wszystkim jednak Aggersborg był jedyną w Quinullii warownią znajdującą się na tyle blisko granicy, by z wież można było dojrzeć zarys spowitej czarnym płomieniem i dymem Lankei. Państwa, które trzydzieści lat temu zniknęło z powierzchni kontynentu w ciągu zaledwie kilku dni. Do tej pory nie ogłoszono oficjalnej wersji tego, co się tam stało. Ani co było na tyle potężne, by pokonać tak rozwiniętą nację wyspecjalizowaną w sztuce manipulacji i kreacji.

Szeptano, że łaknący niezmierzonej potęgi Lankeianie w końcu odnaleźli niezrównane źródło mocy, którego tak niestrudzenie szukali – i to ono ich zniszczyło. Nikomu nie spieszyło się jednak, by tę teorię sprawdzić. Uśpionego zła lepiej nie budzić.

Teraz Aggersborg okazał się potrzebny i nawet bliskość granic Lankei nie zniechęciła Rady do ustawienia tu pierwszej linii obrony, choć na miejscu brakowało dosłownie wszystkiego. Nawet kwater dla wojowników. Większość budynków mieszkalnych niegdyś rozebrano i budulec przeznaczono

do wzniesienia dodatkowych murów obronnych. Na pustych polach porozstawiano więc namioty.

– Przecież nadal stoją tu kamienice – mamrotał pod nosem Eirik, wbijając w suchą ziemię metalowy kołek.

– To domki dla książątek. – Hialti teatralnie zgiął się wpół w ukłonie.

– Spóźniających się książątek – zauważył Bers, starając się z Holdisem odnaleźć w potężnych połach rozwijanej plandeki, z której finalnie miał powstać namiot.

– Wysoko urodzeni to jednak mają życie – fuknął Eirik. – Nie znacie jakiegoś rodu, który mógłby za mnie poręczyć i opłacić mi szkolenie na Kreatora?

– To pojedyncze przypadki – zauważył Bers. – Potwierdzają jedynie regułę istniejącej hierarchii społecznej, w której tacy jak my nie mają prawa dostępu do mocy, jaką daje umiejętność manipulacji.

Skard uniósł kącik ust, lecz nic nie powiedział. Jego zdaniem jedynym powodem takiego stanu rzeczy był strach Wysokiej Rady Svalbardu przed rebelią niższych klas. Dzięki kontroli nad naukami manipulacji mogła bezkarnie na nich żerować, nie obawiając się odwetu.

Nagle zadudniły bębny. Wszyscy prócz Skarda drgnęli.

– Powiedźcie, że pamiętacie, co to oznacza... – Eirik w panice nie potrafił sobie przypomnieć prawidłowej interpretacji wygrywanego rytmu. Przedłużający się stres zdążył już odcisnąć na jego umyśle swoje piętno.

– Negocjacje zostały zakończone niepomyślnie – wycedził mechanicznie Bers, jakby odpowiadał na pytanie przepytującej go komisji.

Rytm bębnow się zmienił. Ten Eirik pamiętał dobrze, lecz Bers i tak przetłumaczył:

– Wróg u bram.

– Jeszcze nie przybyli Kreatorzy... – Na czole Skarda pojawiły się kropelki potu.

– Przygotować się do obrony – tłumaczył Bers mechanicznie, jakby to były jedynie ćwiczenia. Jakby po poprawnym rozpoznaniu nic innego już robić nie musiał. – Wojownicy do bram.

Ruszyli biegiem, pozostawiając za sobą tylko częściowo rozstawiony namiot. Tłum porwał ich ze sobą. Bębny grzmiały uparcie, wydając klarowne komendy mające zapanować nad powstałym chaosem. Większość

wojowników nie potrafiła jasno myśleć pod tak przygniatającą presją stresu. Nim bębny zdołały przebić się przez skorupę strachu i wymusić na umysłach podążanie za rozkazami, na chaotyczną bieganinę zmarnowali wiele cennych sił.

Skard wzniósł wzrok na kamienną bramę. Powoli zaczynał rozumieć, że każda wcześniejsza misja była niczym w porównaniu z sytuacją, w którą właśnie wpakował go Tornvald. Brama stała się jego punktem fiksacji. Kamiennym obrońcą dającym iluzoryczne poczucie bezpieczeństwa.

Bez Kreatorów nie mieli szans i świadomość tego przedzierając się przez umysł Skarda lodowatym nurtem. To oni stanowili prawdziwą siłę Quinulii. Tak jak podstawową siłą Ardilian były już w tym momencie maszyny.

Bębny zaczęły wygrywać nowy rytm. Zmiana tonu obudziła Skarda w ostatniej chwili.

– Wycofać się! – wrzasnął ktoś.

Rozległ się głuchy świst. Coś gruchnęło z niesamowitą siłą o wieżę na lewej flance i część połączanego z nią muru. Siła uderzenia rozerwała kamień, jego części wystrzeliły dookoła w tumanach kurzu z grzmiącym ostrzeżeniem. Wieża, pozbawiona niemal połowy podpory, zakotłosała się, po czym runęła z łoskotem na plac i zgromadzonych na nim wojowników. Zapanował chaos. Wszyscy zaczęli uciekać w popłochu, tłocząc się i przepychając w tył.

Eirik zwymiotował na widok zmiażdżonego ciała. To mógł być on, gdyby tylko stał kilka kroków bliżej. Skard pociągnął go za fraki, cofając się jeszcze bardziej. Czuł się jak we śnie. Kompletna dezorientacja po wybuchu została nagle zastąpiona wyraźnym obrazem sytuacji. *Mają trebusze, mają trebusze, mają trebusze...* Później znów dezorientacja. *Z trebuszami nie da się walczyć. Co mamy robić?* I jasność: *Uciekać!* Dezorientacja: *Przecież nie ma dokąd uciekać.* Jasność: *Musimy przetrzymać szturm.* Dezorientacja: *Ale jak? My nie mamy trebuszy,* pomyślał Skard, zaciskając do bólu szczęki.

Wojsko Quinulii nie inwestowało w maszyny miotające. Zastępowały je oddziały Kreatorów. Oddziały, które nie dotarły na czas.

Instynkt to śmierć rozumu, przypomniał mu w myślach Kaberu.

Skard bezwiednie złapał za wiszący mu na szyi czerwony kamyk.

– Za mną! – wrzasnął głośno, by pozostali mogli go usłyszeć, i ruszył z miejsca. – No już!

Rzeź – to było pierwsze słowo, które przyszło Skardowi na myśl. Drugim była „ruletka”, ponieważ trebuszy nie dało się pokonać. Śmierć była powodowana pojawieniem się w złym miejscu, w złym czasie. Żeby uniknąć pecha, trzeba było zminimalizować ryzyko pojawienia się w złym miejscu i czasie.

Na tym skupił się Skard.

Jako jedyny postanowił się nie wycofywać, tylko pobiegł naprzód. Za nim rzucił się Bers, za Bersem Hialti i Holdis, a także klnący na całe gardło Eirik. Kiedy inni wojownicy zbiegali z muru, Skard się na mur wdrapywał. Trebusze było widać stamtąd jak na dłoni. Po chwili igrania ze śmiercią znał trajektorię lotu. W zależności od ciężaru pocisk leciał dalej lub bliżej, ale wciąż w tym samym, niemal niezmiennym kierunku. Pomiedzy trebuszami widniały potężne odstępki. Cała reszta była czystą fizyką i logiką. Dotarcie do pustej przestrzeni w martwym punkcie zajęło dowodzonej przez Skarda piątce pół godziny.

Ruletka ustąpiła miejsca chłodnej kalkulacji gwarantującej przetrwanie.

A jednak trebusze wykonały swoje zadanie. Zasiały ziarno strachu.

Po ustaniu ataku z murów pozostały jedynie gruzy, a cały Aggersborg spowiła szara mgła wszechobecnego pyłu.

Pół dnia upłynęło w kilka minut. Zaburzenie upływu czasu w ich umysłach było jednak najmniejszą z wyrządzonych tam szkód. Skard znał własne odruchy, sposób działania ludzkiej psychiki i metody łamania instynktownych, zwierzęcych schematów utrwalonych przez lata ewolucji.

Większość wojska tego nie wiedziała. Ci, którzy przetrwali, mieli po prostu szczęście. Wygrali w ruletkę. Wojownicy zachowywali się w przerażający wręcz sposób zgodnie z teoretycznymi sytuacjami opisywanymi w podręcznikach, studiowanych przez Skarda kilka lat temu. Zupełnie jakby wszyscy je przeczytali.

Na jedno krótkie mgnienie, w którym pierwszy pocisk trafił w wieżę, zamarli w miejscu. Zupełnie jak wstrzymane przez mechanizm, bezwolne

kukiełki. Lalkarz w ich głowie nakazał im obserwować tę nową, z pewnością groźną sytuację, pełen nadziei, że owo niebezpieczeństwo ich nie zauważy i sobie pójdzie. Zupełnie jak dzikie zwierzę – odejdzie, a oni pozostaną bezpieczni i niedostrzeżeni.

Jednak czasy dzikich zwierząt dawno już minęły. Nastała epoka rządów człowieka. W dodatku służący mu potwór w postaci trebusza okazał się nie mieć oczu. Atakował na ślepo. I zabijał, nie dając szans na obronę.

Zapanował chaos, rozpoczęty jednym krótkim, aczkolwiek bardzo sugestywnym hasłem: „Uciekaj!”. Lalkarz w umyśle zrozumiał, że bezruch po prostu się nie sprawdził. Następna w kolejce instynktownych reakcji była ucieczka. Ludzie zaczęli więc biegać w poszukiwaniu schronienia. Całe lata szkoleń w jednym momencie zostały wyrzucone do kosza. Gdyby nawet wydano rozkaz do ataku, wielu nie byłoby zdolnych ruszyć z miejsca.

Paradoksalnie dopiero wówczas stało się najgorsze. Okazało się bowiem, że nie ma dokąd uciekać. Trebusze zdawały się obejmować zasięgiem całe miasto. Bębny naprzemiennie nakazywały wycofywać się i walczyć, choć trudno było powiedzieć, jak i z kim. Lalkarz w umyśle chciał wykonać jednocześnie zbyt wiele ruchów, z których ostatecznie żaden nie okazał się właściwym rozwiązaniem. Lalki zaczęły się psuć.

Niektórzy biegali w niedającej się okiełznać panice. Inni chowali się w namiotach lub za gruzami. Z głowami zakrytymi rękami i z zatkanymi uszami tkwili w jednym miejscu. Im dłużej trwał ostrzał, tym bardziej nieruchomiąło miasto. Wojownicy coraz wyraźniej zdawali sobie sprawę, że żadna instynktowna reakcja nie jest właściwa. Umysły się zawieszały. Zapętały w karuzeli bez wyjścia. Nie można stać w miejscu, nie ma gdzie uciekać, nie ma jak walczyć. I powtórka.

Skard im się nie dziwił. Rozumiał ich wszystkich. Ich reakcja była naturalna i jak najbardziej usprawiedliwiona. Instynktowna.

– Instynkt to śmierć rozumu – tłumaczył mu kiedyś Kaberu. – Jeśli siedzisz wygodnie w fotelu i dopada cię złe przeczucie, dobrze jest mu zaufać, ale jeśli na szali zostanie postawione twoje życie, nie idź za instynktem. Myśl! Tylko pozostanie przy zdrowych zmysłach jest wówczas w stanie zagwarantować ci przeżycie.

Dzisiaj Skard kolejny raz, lecz dotkliwie jak jeszcze nigdy wcześniej, przekonał się, że Kaberu miał rację. Musiała minąć dobra godzina od

ustania ostrzału, by ktokolwiek odważył się ruszyć z miejsca. Ludzie zaczęli łączyć się w grupy ocalałych, nie bardzo wiedząc, co powinni zrobić i dokąd się udać. Okazało się również, że kwatera głównodowodzących, w której skryła się większość dowódców, wygrała ruletkę z trebuszami.

Skard podejrzewał, że sami dowódcy, którzy przeszli przecież szkolenie na Kreatora, rozstawili własną Barierę. Objęli nią tak duży plac, jaki mogli. Czyli akurat największy budynek stanowiący kwaterę główną.

Szczście w nieszczęściu, że wciąż miał kto dowodzić.

Sztab wydał nakaz przeszukania rumowiska i wydobycia możliwie każdego ciała. Wzdłuż traktu poza murami warowni zaczęto kopać doły na masowe mogiły.

* * *

W ciągu swojego dwudziestoczworoletniego życia Skard widział wiele śmierci, lecz nigdy aż tylu zmasakrowanych ciał w jednym miejscu. Nie chciał czuć obojętności ani jej udawać. Pamiętał pierwszego trupa, którego zobaczył. Był nim jego dziadek, a Skard miał pięć lat. Pamiętał to trudne do opisanie, paskudne uczucie.

Ciekawe, ilu z wojowników widziało dzisiaj swoje pierwsze zwłoki, pomyślał.

Kiedy w końcu całą piątką stłoczyli się pod naprędcie skleconym namiotem, zabrakło im słów. Po prostu milczeli. Eirik ciągle biegał wymiotować. Bersowi łzy ciekły z oczu strumieniami, choć twarz miał niewzruszoną jak kamienna rzeźba. Nawet Hialti i Holdis ściśnięci na jednej pryczy przylgnęli do siebie ramionami i wpatrywali się nieobecny wzrokiem w jakiś punkt przed sobą. Byli wykończeni. W głowach dzwoniło im ostrzeżenie, że ostrzał z trebuszy może być w każdej chwili wznowiony. W nozdrzach nieustannie czuli metaliczny zapach krwi, rozerwanej tkanki i rozkopanej ziemi. Prześladowały ich martwe oczy wrzucanych na wozy zwłok. Sztab nie chciał dopuścić do wybuchu zarazy. Wszyscy to rozumieli, przynajmniej do pewnego stopnia.

Z całej piątki jedynie Skard zdawał się jakoś trzymać. Nie dlatego, że strach szczenił mu swej obecności. Po prostu zbyt często pijał z nim krew. Wpatrywał się przez długi czas w swoje buty, które niedawno ściągnął ze stóp jakiegoś martwego wojownika. Były skórzane i porządnie podbite.

Wyglądały niemal na nowe. Nie to, co jego stare i przetarte, zapewne dogryzane w tym momencie przez robaki kilka metrów pod ziemią w zbiorowej mogile. Skard zastanawiał się, kim był ów wojownik. Dokąd te buty go niosły. Czy miał okazję w nich zatańczyć.

Pragnął wyjść i odszukać Tornvalda, ale nie był pewien, czy jego misja po takim obrocie spraw nadal ma jakiś sens. To nie było jednak główne pytanie, jakie chciał Tornvaldowi zadać.

Skard słyszał pogłoski. Szepty. Mówiono, że wódz Austrin udał się do Kergradu wraz z najbardziej osławionym oddziałem Kreatorów pod dowództwem generała Jormunda. Podobno szukał tam starych mitów i studiował mapy portalowe. Dla większości brednie, lecz Skard niejedno już w życiu widział. Razem z Kaberu w poszukiwaniu mocy zapuścili się dalej, niż powinni. Obracając w palcach czerwony kamyk, Skard nie potrafił oprzeć się przeczuciu, że ich wódz także próbuje dogrzebać się do źródła, które włożyłoby mu w ręce potężną moc. Czegoś, co Quinulianie nazywali Świadomą Energią, a Lankeianie – Przedwiecznymi.



Element – zbiór czynności, które należy wykonać na dielli w celu jego przekształcenia. Każdy Element wymaga nadania dielli odpowiednich wibracji, gęstości, siły i kierunku przepływu.



Element Fali – współistnieje z manipulacją pozostałymi Elementami. Pozwala na przenoszenie przekształconego dielli poza ciało bez utraty kontroli nad wypuszczoną energią. Element Fali ma dużo większy zasięg niż kreacja dodatnia i nie ogranicza go konieczność kompatybilności z ludzkim dielli.



Element Oddechu – pozwala na przekształcenie dielli w energię zdolną do manipulowania ruchem powietrza.



Element Popiołu – daje możliwość przeobrażenia dielli w ciepło i światło. Powszechnie jest wykorzystywany do tworzenia Lun.



Element Metalu – umożliwia wykorzystywanie energii dielli do przejmowania kontroli nad sygnałami elektrycznymi w mózgu. Ogranicza się do kontroli układu dokrewnego, oddechowego, naczyniowego, narządów ośłonowych i układu ruchu.



Element Umysłu – umożliwia wykorzystywanie energii dielli do przejmowania kontroli nad sygnałami elektrycznymi w mózgu. Ogranicza się do kontroli wrażeń zmysłowych, myśli, odczuć emocjonalnych i wspomnień.

3

Kergrad

19 marca

Wódz Austrin sunął palcem po potężnym arkuszu starej mapy rozścielonym na stole obok kilku innych mniejszych map. W pokoju panował półmrok. Światło rzucały jedynie dwie Luny, wykreowane przez Austrina Elementem Popiołu i zawieszone pod sufitem Fałą. Kiedyś był to jedyny sposób walki z nocą – prócz świec. Od niedawna istniał inny. Po odkryciu materialnych źródeł energii ekspansja nowej technologii w ciągu kilku lat zastąpiła sztukę manipulacji w wielu dziedzinach. Teraz ulice rozświetlały latarnie, a nie Luny. Powietrze przesycił zapach węgla. Chmury zszarzały.

Po upadku Lankei zmieniło się wszystko.

Im dalej do przodu szedł świat, tym bardziej Austrin miał ochotę zagłębić się w przeszłości. I nie tylko miał ochotę – aktywnie i niezmordowanie szukał przeszłości w mapach i zwojach. Nierozwiązane tajemnice od zawsze fascynowały go o wiele bardziej niż to, co miało dopiero nadejść. Sięgnął do piętrzącego się stosu zwojów pod stołem i odnalazł właściwy. Rozwinął go, porównał z mapą.

– Chyba już wiem, gdzie znajduje się ten Kamień Przepowiedni – wypowiedział pod nosem.

– Oświeć mnie – westchnął Elnat, namiestnik Austrina, z przyjemnością odrywając się od przeglądania raportów. Odłożył pióro na zasłane

papierami biurko i się przeciągnął. Mimo że miał dopiero dwadzieścia dziewięć lat, jego plecy już były lekko przygarbione od ślęczenia za biurkiem. Austrin szukał przeszłości, Elnat zaś wznosił modły do Przodków, by mniej działo się w terażniejszości.

– Na wyspach Lodon. – Austrin wskazał punkt na mapie i wyprostował się.

Elnatowi jego ciało zawsze wydawało się jakby dziwnie wydłużone, ale teraz, gdy jego cień wędrował za nim migotliwie po ścianach, wrażenie to jeszcze się pogłębiło.

– W takim razie całe miesiące odszyfrowywania tamtego zwoju pójdą na marne. Lodon są dla Drakoi świętymi wyspami. Podobno nawet oni mają tam zakaz wstępu. Kontakt z wyspami istnieje jedynie poprzez Dewanagari, kapłanów świątynnych.

– To niby skąd Lankeianie wiedzieli o Kamieniu Przepowiedni? – Uśmiechnął się z przekąsem. Jego nos stał się przez to jeszcze bardziej haczykowaty.

Elnat nie znalazł na to pytanie odpowiedzi. Wpatrywał się jedynie w Austrina i zastanawiał, czy powinien mu powiedzieć, że ludzie zaczynają już przezywać go Szalonym Wodzem. On sam w jego oczach nie dostrzegł szaleństwa, choć ich oryginalny kolor, plasujący się pomiędzy błękitem a fioletem, czasem przyprawiał go o dreszcze. Długi, wyróżniający się nos i głęboko osadzone oczy nadawały mu srogości starca, mimo że miał dopiero trzydzieści dwa lata. Austrin był niczym tak go fascynujące stare mapy: choć istniał w terażniejszości, emanował tajemnicą. Jakby był strażnikiem przeszłości.

Elnat znał wodza od czasów szkoleń na Kreatorów. Kiedyś wszyscy uważali Austrina za geniusza, był w końcu najmłodszym wodzem w dziejach Quinulii. Dziś ludzie byli o krok od nazywania go tchórzem, który zamiast zająć się nadciągającą wojną, szuka mitów i chowa się po drugiej stronie państwa.

– Jest pewna grupa istot, które według tego zwoju mają wstęp na Lodon i znają treść przepowiedni – ciągnął Austrin. – Nazywano ich Przedwiecznymi.

– Austrin...

– A w tym zwoju... – Wódz rozwinął kolejny stary arkusz. – Dokładnie tu – wskazał – jest opisane, że Przedwieczni większość czasu spędzają po tak zwanej Drugiej Stronie, by nie zaburzać swą mocą równowagi materii.

– Posłuchaj mnie...

– Za to ta mapa – Austrin podniósł głos i uderzył pięścią w stół – to jedyna mapa portalowa, którą udało mi się odnaleźć. Widzisz te przecinające się linie? – Powiodł palcem po mapie. – To Dashar. Sieć energii, która oplata cały nasz świat i go spaja. Linie są nieregularne. W niektórych miejscach przecina się ich wiele w tym samym punkcie. – Wskazał na arkuszu wyspy Lodon. – Lankeianie używali tych map do budowania swoich portali nieskończoności. Uważali też, że tam, gdzie przecina się więcej niż kilkanaście linii, stężenie dielli w przestrzeni przekracza normę. W takich miejscach granice pomiędzy wymiarami są wyjątkowo cienkie i łatwiej jest je przekroczyć. Zgodnie z mapą jedno z takich kulminacyjnych miejsc znajduje się na wyspie Nelheim... – Austrin wyrzucał słowa coraz szybciej, a Elnat ledwo za nim nadążał. – Przypomnij mi, co mówi nasza wiara o Nelheim.

Elnat roztarł sobie skronie.

– Zgodnie z wierzeniami Quinulian Nelheim jest miejscem przebywania etemmu naszych zmarłych Przodków. A pieczę nad nimi sprawują...

– Świadome energie – dokończył za niego Austrin. – Czyli Przedwieczni.

Elnat starał się nie traktować tego ciągu domysłów jak paplaniny szaleńca. Naprawdę się starał.

Austrin zwiesił głowę i oparł się obiema dłońmi o stół. Do tej pory idealnie zaczesane włosy opadły mu na oczy, a on odgarnął je z irytacją. Był pewny czegoś, o czym inni ludzie starali się nawet nie myśleć, a Wielka Rada Svalbardu robiła wszystko, by informacje o tym zataić: za zniszczeniem Lankei stała potężna, obca siła. Coś, co mogło zaatakować ponownie.

Jak miał jednak kogokolwiek przekonać, skoro cały kontynent tkwił w przekonaniu, że Lankeie zniszczyła własna potęga, a nie coś z zewnątrz? Jedyną osobą, która podzielała punkt widzenia Austrina, była Geira, jego siostra. Nie miał z nią kontaktu od ośmiu lat.

Geira była obecnie główną dowódczynią Limnaionu. I niedoszłą rebeliantką. Do dziś była zdania, że Austrin ją zdradził.

W pewnym sensie miała rację.

– Dlaczego tak się uparteś, że do pokonania Ardilian będziemy potrzebować Przedwiecznych i jakiejś przepowiedni wyrytej na kamieniu? – zapytał Elnat, sięgając po kolejny raport. – Mamy dobrze wyszkolone

oddziały Kreatorów. Mogą roztaczać nad Aggersborgiem Barierę dielli miesiącami, może i nawet latami, jeśli będzie trzeba. Materia zawsze przegra z energią. Po co ściągać tu siły, których nie rozumiemy? W założeniu, że w ogóle istnieją.

Austrin puścił słowa Elnata mimo uszu. Tłumaczenie mu, że to nie o wojska Ardilian powinni się najbardziej martwić, było w tym momencie bezsensowne. Ich atak pełen był desperacji. Jakiejś ukrytej agresji podszytej strachem. Cały kontynent zdawał się drzeć, choć nikt do końca nie wiedział, czego ziemia się lęka. Wszyscy z wolna poddawali się panice, dostrzegłszy w mroku kształt czarniejszy nawet od nocy. Szukali tarczy, którą mogliby się przed nim ostonić.

Ardilianie nie byli inni. Atakowali, bo musieli się dowiedzieć, czego on sam szuka. Chcieli dotrzeć do tego pierwszego. Choć uważali sztukę manipulacji za zło sprowadzające jedynie nieszczęście, wiedzieli doskonale, że tylko moc dielli zdoła ich ocalić.

Też szukali Przedwiecznych.

– Jest jakiś raport ze Svalbardu? – zapytał Austrin. – List? Cokolwiek?

Elnat przewrócił oczami i znów oderwał się od swojej pracy. Zaczął szukać w stosie papierów. Strony szumiały, a im dłużej Elnat przewracał kartki, tym więcej zmarszczek pojawiało się na czole Austrina.

Opuścili Svalbard dwa tygodnie temu, po dziewięciu dniach drogi dotarli do Kergradu. Nawet Elnat nie był do końca świadomy, że po prostu stamtąd uciekli, prawdopodobnie w ostatnim możliwym momencie. Austrin był przekonany, że Rada mimo wszystko nie zaprzestanie odgrywania swojego teatryku. Sądził, że będzie chciała jak najdłużej utrzymywać pozory. Dlatego zabrał ze sobą jedynie oddział Jormunda. Pomylił się.

– Strony musiały się skleić – wydukał Elnat. Na jego czole pojawiły się kropelki potu. Zaczął szukać jeszcze raz.

Austrin cierpliwie czekał.

Brak tęczności ze Svalbardem będzie ostatecznym dowodem, że osiem lat temu popełniłem błąd. Powinienem wówczas wziąć stronę Geiry. Pozwolić jej wznieść rebelię. Mielibyśmy jednego wroga mniej.

Wtedy jednak utrzymanie pokoju, nawet iluzorycznego, wydawało się Austrinowi właściwsze od przelewu krwi.

– Nie rozumiem... – Elnat pokręcił głową, tworząc na biurku coraz większy chaos. Roztrzącał kupki z raportami i szukał wyrывkowo.

Austrin poczuł ucisk w żołądku. Skoro Wysoka Rada przestała stwarzać pozory...

Już wiedzę, że o nich wiem, zrozumiał.

Wtedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść – rozkazał.

Do pokoju wpadł jeden z Łącznikowców, ludzi wyszkolonych w Elementie Umysłu i Fali, którzy potrafili przekazywać sobie informacje telepatycznie na dalekie odległości. Jego twarz była biała i sperlona potem.

– Odebraliśmy raport z Aggersborgu... – Łapał powietrze po przebytym biegu. – Ardilianie zaatakowali trebuszami.

Austrin zazgrzytał zębami. Wiedział, że to się w końcu wydarzy, ale świadomość wybuchu otwartego konfliktu w obecnej sytuacji i tak go zmroziła. Skinął głową i machnięciem ręki odprawił Łącznikowca.

– To nie wszystko – wybełkotał mężczyzna. – Do Aggersborgu nie dotarła ani jedna jednostka Kreatorów, przez co trebusze zniszczyły dużą część miasta. Jest wielu rannych. I ofiar. Próbowaliśmy łączyć się ze Svalbardem, ale nikt nie odpowiada. Żaden kruk z wiadomością nie wrócił. Aggersborg także nie ma ze Svalbardem kontaktu.

– Jak to „nie ma ze Svalbardem kontaktu”? – powtórzył Elnat, podnosząc się zza biurka z impetem.

– Łącz z Limnaionem – rozkazał Austrin. – Już!

Był na siebie wściekły. Powinien był to przewidzieć.

Oszołomiony mężczyzna zrozumiał sens słów wodza dopiero po chwili, pokiwał głową i zaczął manipulować dielli. Gdy odnalazł połączenie z innym Łącznikowcem z Limnaionu, wypowiedział odpowiednią regułkę. Dał znak Austrinowi, że ten może już mówić.

– Nie mamy czasu na przekazywanie wiadomości. Niech Łącznikowiec z Limnaionu iść prosto do kwater dowództwa. Muszę porozmawiać z generałem Geirą osobiście.

* * *

Austrin miał wrażenie, że czekanie trwa wieki.

Tkwiał w jednym miejscu, myśląc intensywnie. Elnat również milczał, teraz już niemal tak samo błądy jak Łącznikowiec. Chodził nerwowo po małym pokoju z założonymi na piersi rękami.

– Proszę o wybaczenie, ale... – odezwał się w końcu mężczyzna. Odchrząknął. – Generał Geira odmówiła rozmowy.

Elnat aż przystanął, a Austrin zaklął w duchu. Oczywiście, że Geira nie mogła odmówić wykonania rozkazu wodza. Za to była jedna kara: śmierć. Tyle że ona również musiała już zrozumieć, że wraz ze zdradą Wysokiej Rady wszelkie prawa przestały mieć rację bytu.

– Przekazuj moje słowa na bieżąco – polecił Austrin. – I nie pozwól przekazującej wiadomości osobie odejść od Geiry. Powołaj się na mnie i jeśli będzie trzeba, zmusz do współpracy przypomnieniem, co czeka na tych, którzy odmawiają wykonania rozkazu.

Łącznikowiec chwilę milczał, po czym przytaknął i powiedział:

– Proszę mówić.

– Myliłem się... – Austrin wydusił te słowa z trudem.

Elnat zamrugał kilkukrotnie. Nagle zawładnęło nim złe przeczucie.

– Wtedy jeszcze nie rozumiałem, ale teraz już rozumiem – ciągnął Austrin. – Jormund nie zdąży dotrzeć do Aggersborgu, ale twój oddział Kreatorów już tak.

– W Limnaionie nie ma żadnego oddziału Kreatorów – zauważył Elnat, ale Austrin uciszył go uniesieniem dłoni.

– Musi być jakiś powód, dla którego to na Aggersborg padł pierwszy cios – kontynuował Austrin. – Nie wysyłaj tam oddziału Kreatorów ze względu na mnie, ale przez wzgląd na to, w co nadal wierzysz. Jormund natychmiast wyruszy do Limnaionu. Nie zostaniesz sama.

Przez moment znów trwała cisza. Łącznikowiec nagle spurpurowiał.

– Generał Geira... – Przełknął ślinę. – Generał wypowiedziała wiele niegodnych powtórzenia słów. Opisała wodza wieloma obraźliwymi epitetami, które nakazała mi przekazać, ale...

– Nie musisz ich powtarzać – uspokoił go Austrin.

Łącznikowiec skrzywił się kilkukrotnie. W końcu odetchnął.

– Generał Geira nakazała przekazać, że jej oddział dawno już wyruszył. I że wódz się spóźnił. Tyle że nie użyła słowa „wódz”...

Z Austrina jakby nagle zeszło całe powietrze, odetchnął.

– To mi w zupełności wystarczy – zapewnił, pozwalając mężczyźnie zakończyć połączenie.

Łącznikowiec upadł na podłogę, ciężko dysząc. Elnat zerwał się z miejsca i podbiegł do mężczyzny, ale ten jedynie podniósł dłoń w zapewnieniu, że nic mu nie jest. Namiestnik i tak pomógł mu wstać i wyjść. Większość ludzi manipulacja Elementami kosztowała wiele energii.

Austrin tymczasem obszedł stół i zmienił rozstawienie figur na mapie kontynentu, zaznaczając Svalbard siłami wroga.

– Znajdź Jormunda i Altara – zwrócił się do Elnata. – Sprowadź ich tutaj. Teraz. Z nikim innym nie rozmawiaj.

– Nie lepiej wydać oddziałom z Aggersborgu rozkaz do odwrotu? – zasugerował Elnat.

Austrin pokręcił przecząco głową.

– Gdyby dowódcą Aggersborgu był ktoś spoza kręgu Rady, moglibyśmy spróbować się z nim porozumieć. Berthold jednak od lat jest jej zwolennikiem, poza tym nie ma prawa postawić mojego rozkazu ponad rozkaz Svalbardu. Ja jestem jedynie wodzem, Elnacie. Mam reprezentować, ładnie się uśmiechać i pokazywać publicznie. Nawet tutaj jestem tylko po to, żeby oficjalnie rozpocząć żniwa quilinich rogów. Przynajmniej oficjalnie. Musimy zostawić Aggersborg w rękach oddziału Geiry.

Elnat nie zadawał więcej pytań. Wybiegł z pokoju.

Austrin na powrót zwiesił głowę nad mapą. Nie zamierzał sam siebie okłamywać, przecież się tego spodziewał. Wierzył jednak, że będą mieć więcej czasu.

Jeszcze kilka lat temu on, Elnat, Altar i Jormund byli jedynie rywalami, próbującymi zostać numerem jeden na szkoleniu Kreatorów. Pozostałą trójkę traktował jak przyjaciół. I choć ich doceniał, to nigdy do końca nie poczuł się przez nich zrozumiany. Dziś wszyscy stali się ważnymi figurami rozstawionymi na mapie kontynentu. Od ich decyzji zależało przetrwanie całego państwa.

Los musi być zdesperowany, pomyślał Austrin i pierwszy raz od bardzo dawna dopuścił do siebie świadomość, że bardzo brakuje mu Geiry. Jej jako jedynej ufał niegdyś bezgranicznie.

Generał Jormund postawił dwa kufle na drewnianym stole z taką siłą, że piwo aż z nich chlusnęło. Huk w karczmie na moment przycichł, a oczy wojowników zwróciły się na Jormunda. Niedźwiedzia postura generała już sama w sobie budziła respekt, ale wyspecjalizowanie w Elemencie Metalu i pogłoski o zamiłowaniu do podziemnych, nielegalnych walk przekształcały respekt w coś z pogranicza strachu. Krążyły także opowieści, że na co dzień opanowany generał po wychyleniu kilku kufli piwa ma skłonność do mylenia karczmi z podziemną areną.

– Nigdy nie potrafiłeś szanować dobrego trunku... – Altar, główny dowódca Kergradu, pokręcił głową z dezaprobatą. Sięgnął po szkło i zaciągnął się zapachem. – To piwo ryżowe, sprowadzane aż z Kariat Dalah.

Jormund usiadł z impetem na krześle, które niebezpiecznie zaskrzykiało pod jego masą. Chwycił za kufel i wychylił połowę zawartości kilkom potężnymi haustami. Piwo pociekło mu po gęstej brodzie. Altar aż się skrzywił na ten widok. Od czasów szkoleń ich relacja znaczone była ostrą rywalizacją, podżeganą dziwną mieszkanką nienawiści i sympatii. Nigdy ostatecznie nie zdecydowali, czy są wrogami, którzy potrafią się ze sobą dogadać, czy przyjaciółmi, którzy czasem miewają gorsze dni.

Jormund odstawił kufel na lekki stół i otarł usta.

– Mówię ci, Altar... – Czknął i po chwili podjął przerwany wątek. – Geira ma ten rozdział życia za sobą. Jej były oddział nazywają teraz Wyklętym. Czasy, w których chciała obalić Wysoką Radę Svalbardu, minęły – dodał półgłosem.

Jego towarzysz upił tyk piwa i zmusił się, by nie przewrócić oczami. To Jormund był bratem Geiry, a nie on, ale Altar miał wrażenie, że zna Geirę dużo lepiej niż obaj jej bracia razem wzięci. Jormund z pewnością nie wiedział, że Geira po kryjomu szkoliła w Limnaionie własny oddział Kreatorów. Co było wbrew ogólnie narzuconemu przez Radę prawu, które mówiło wyraźnie, że wszelkie szkolenia Kreatorów winny odbywać się pod jej nadzorem, w Okręgu Sybris.

– Nie wierzysz mi – zarzucił mu Jormund, zwięzając oczy.

Altar wzruszył ramionami.

– Skoro tak uważasz, to musi być prawda – siłił się na szczerość, z której jak zwykle wyszła mu jedynie ironia.

– Zarzucasz mi kłamstwo! – Jormund podniósł głos.

Altar uniósł kącik ust w zadziornym uśmiechu.

– Nie śmiałbym – zakpił. Stłumił w sobie przeświadczenie, że gdyby był tu teraz Elnat, z pewnością nazwałby go mąciwodą. – Uważam jedynie, że mając po swojej stronie moc, którą dysponował rozwiązany oddział Geiry, nie musielibyśmy teraz tak trząść portkami.

– Nie trzęsiemy portkami! – Jormund uderzył pięścią w stół i wstał.

W karczmie zapadła martwa cisza, a Altar rozsiadł się wygodniej na krześle.

– Rozejrzyj się dookoła. I to powtórz.

Jormund powiódł wzrokiem w prawo, w lewo, obejrzał się za siebie. W końcu usiadł i zwiesił potężne ramiona. Wyglądało to tak, jakby spuścić z mięśni powietrze. Rzeczywiście, wszyscy byli przerażeni. Nie przyszło mu jednak do głowy, że nim samym.

– Wszyscy z Wyklętych poza Geirą zaginęli po tamtej misji, nie pamiętasz? – mruknął smętnie, po czym wychylił drugą połowę kufła. – Może i lepiej. W Svalbardzie czekała na nich egzekucja za podżeganie do rebelii, obaj to wiemy. Tak przynajmniej zginęli honorowo.

Altar nie zamierzał wyprowadzać Jormunda z błędu. Nie byłby jednak sobą, gdyby zamknął tak skandaliczny temat, nie wierząc w nim głębiej.

– Doszły mnie wieści...

– Nawet nie próbuj tego robić – ostrzegł go Jormund.

– Zwyczajne plotki...

– Altar... – Głos Jormunda był już niemal błagalny.

– Podobno Rada schwytała niedawno jedną z Wyklętych – powiedział Altar półgłosem. – Słyszałem, że sam wykonałeś na niej egzekucję w Svalbardzie, ale coś spartoliłeś. Naprawdę zwiata wam z krypty? – Altar pochylił się w przód w zaciekawieniu.

– Skąd, na dielli... – Jormund przymknął oczy i ścisnął palcami grzbiet nosa.

– Tak, tak, wiem. – Altar machnął niedbale dłonią. – To ściśle tajne informacje, ale jak następnym razem Enyo da się wam złapać, pozdrów ją ode mnie. – Dopił i dał znak karczmarzowi, by przyniósł im następną kolejkę tego samego.

– Da się złapać? – zapytał Jormund po chwili głębokiego zastanowienia. Przynajmniej na tyle głębokiego, na ile pozwalał mu zaburzający myśli szum trunku.

– Teraz to możecie wydać cały budżet państwa, a i tak Enyo nie znajdziecie. – Altar wyrzucał z siebie słowa, bawiąc się w najlepsze, podczas gdy twarz jego słuchacza coraz bardziej stapiała się z odcieniem śniegu. – Zapomniałeś już, kto ją szkolił?

– Jak pójdziesz o tym komukolwiek... – Jormund wymierzył palec wskazujący w Altara.

Wyglądał tak, jakby właśnie powiązał fakty, a Altar był skłonny stwierdzić, że nareszcie. W tym momencie karczmarz postawił na stoliku nowe kufle, zabrał puste i pospiesznie się oddalił pod ponagląjącym wzrokiem Jormunda. Altar pociągnął spory łyk.

– No... – Otarł usta. – To co zginęło Wysokiej Radzie Svalbardu ze skarbca?

Jormund przez moment zbierał się na odpowiedź. Najwidoczniej musiał najpierw ugłaskać uszpioną w sobie bestię, którą zaczęły budzić słowa Altara – na podobieństwo brzęczącej mu nad śpiącą głową muchy. W końcu wybuchnął nerwowym śmiechem.

– Naprawdę myślałeś, że kilka kufli rozwiąże mi język?

– Kiedyś to wystarczyło – przypomniał mu Altar. – Jak widać, czasy szybko się zmieniają – westchnął, kręcąc głowę z żalem. – Jeszcze kilka lat temu jedna drużyna była w stanie zastąpić kilka kompanii. A pamiętasz, jak Geira się uparła, żeby Rada przemianowała jej oddział z drużyny na pułk? – roześmiał się. – Dziewięcioro ludzi...

– Ty się nie zmieniłeś – zauważył Jormund cierpko. – Wciąż wściubiasz nos tam, gdzie nie powinieneś.

– A ty wciąż się pienisz, bo nie masz pojęcia, jakim cudem coś mi tego nosa jeszcze nie utarło. Najwidoczniej niektóre rzeczy pozostają niezmiennie.

Jormund zagryzł zęby. Altar jak nikt inny potrafił grać mu na nerwach wywijaniem przed nosem informacjami, o których nie powinien mieć bladego pojęcia, ale wiedza o incydencie z Enyo to już było za wiele. Chyba że...

– Mam propozycję. – Jormund złapał za uchwyt kufła.

– Zamieniam się w słuch.

– Urządzmy sobie pojedynek.

Altar uniósł brwi, szczerze zaskoczony tą propozycją.

– Nasze walki nigdy nie kończyły się zbyt dobrze – przypomniał Jormundowi. – Nie potrafimy się razem bawić, pamiętasz?

– Jeśli wygrasz, zdradzę ci, co zniknęło ze skarbca. Jak przegrasz, powiesz mi, skąd wiedziałeś o Enyo.

Altar nie potrzebował większej zachęty.

– Kiedy i gdzie?

Jormund uniósł kącik ust. Sięgnął po dielli. Manipulując Elementem Metalu, przekierował energię do ośrodków mózgowych odpowiedzialnych za pracę układu mięśniowego i narządów ośłonowych. Wydobył dzięki temu ich pełen potencjał, pozwolił dielli przejąć nad nimi kontrolę, napędzać je, wzmacniać. Zaciśnął lewą pięść.

– Teraz! – ryknął, posyłając cios prosto w kierunku twarzy Altara.

Uderzył prosto w jego Bariery i mina natychmiast mu zrzędnęła.

– Nie mam zastrzeżeń co do czasu – przyznał Altar spokojnie zza wzniesionej przez siebie Bariery. – Jednak co do miejsca... – Sięgnął po kufel. – Uważam, że powinniśmy je zmienić. To jedna z moich ulubionych karczm. – Siorbnął warstwę pianki. – Nie pozwolę, żeby stała jej się krzywda.

– Ty naprawdę nic się nie zmieniłeś... – warknął Jormund, cofając pięść.